



1



MOJE IMIĘ JEST BEZ ZNACZENIA.

Imię, które nadała mi moja nieżyjąca matka, tak naprawdę nie należy do mnie. Nie należy do osoby, która jeszcze dziś zostanie błogosławiona. Mój ojciec zawsze uważał, że nie przypominam innych dziewczyn z Przystani, gdyż jestem kimś więcej. Teraz podobnie sądzi starszyzna, która dowiedziała się tego z ust samego Boga.

Nieważne, co zrobiła moja matka.

Nieważne, że przez lata sąsiedzi patrzyli na mnie, mojego ojca i siostrę – na całą rodzinę Barrowów – jakbyśmy tak samo jak moja matka zostali pokalani przez Diabła.

Nieważne również, co zrobiłam tamtego dnia pięć lat temu, co zobaczyłam, co powiedziałam.

Nieważne. Dzisiejszy dzień oznacza dla nas nowy początek. Oto starszyzna uznała mnie za godną mojego prawdziwego imienia.

Kiedy budzę się w dniu namaszczenia, tuż za oknem siedzi wielki czarny ptak. Na jego widok ciarki przechodzą mi po ple-

cach, najpierw robi mi się gorąco, a potem zimno. Prawdziwy obłąd!

To nie jest pierwszy lepszy ptak, lecz nakrapiane stworzenie o poszarpanych piórach i łuszczącej się skórze. Ostry, ząbkowany, rozdziawiony dziób i pozbawione powiek białe oczy, które przypominają bliźniacze księżyce. Obserwuje mnie nieruchomo, a ja obserwuję jego.

Matka często opowiadała nam o bestiach, niewielkich stworzeniach zesłanych przez Diabła, które potrafią zagnieździć się w młodej dziewczynie i wywołać w niej strach, wątpliwości i mroczne myśli. Drapią i skubią, marszczą jej skórę z zimna, wiążą kiszki w węzły.

Aż do tej zimy nie spotkałam bestii z opowieści matki. Od tygodni widuję je jednak na drzewach, realne. Siedzą tam i skrzeczą. Kryją się w ciemnościach. Trzepoczą nad głową niczym nietoperze. Pojawiają się coraz częściej.

A kiedy się pojawiają, za nimi kroczy śmierć.

A kiedy się pojawiają, tylko ja mogę je zobaczyć.

Nawet jeśli tli się we mnie choćby odrobina tej zgnilizny, nie pociągnie mnie za sobą do piekła tak jak moją matkę.

Moja matka zepchnęła naszą rodzinę na dno, a dzisiaj ja ją podźwignę.

– Nie boję się ciebie – szepczę do ptaka, choć to kłamstwo. – Zostaw nas. Odejdź. To jest święty dzień.

Ptak dziobie dwa razy w szybę tym szkaradnym, rozdziawionym dziobem, pełnym kłów, których nie powinien przecież mieć. Jego białe oczy pozostają nieruchome, jasne i bystre.

Moja siostra Blessing* obraca się w swoim łóżku po drugiej stronie pokoju, coś mamrocząc.

Siadam i spoglądam na ptaka.

* *Blessing* (ang.) – błogosławieństwo

– Odejdź, Diable – szepczę ostrym tonem i uderzam pięścią w chłodną szybę okna.

Ptak odlatuje. Cień, nasza szara kotka, syczy z kryjówki pod moim łóżkiem. Zawsze się chowa na widok bestii. Traci odwagę i stroszy sierść. Blessing przewraca się i jęczy cicho. Zazwyczaj śpi jak kamień i powoli odzyskuje przytomność.

– Co się stało? Coś nie tak? – pyta.

Maluję na twarzy uśmiech, próbując ukryć rozszalałe bicie serca.

– Wszystko w porządku, siostrzyczko. Mucha na oknie. Zabiłam ją. Śpij dalej.

Blessing posłusznie zwija się w kłębek pod kołdrą i wzdycha. Wysuwam się z łóżka i szybko ubieram. Wkładam białą, sięgającą kostek sukienkę z naszytymi niebieskimi kwiatuśkami, brązowy wełniany płaszcz, wreszcie buty. Po cichu wychodzę przez okno. Ogród rozciągający się tuż za naszym biało-niebieskim domem drży w świetle poranka.

Zamykam okno i odczekuję chwilę. Upewniam się, że Blessing wciąż śpi. Wpatruję się w nią i prawie nie oddycham. Kobiety z Przystani nie wolno mieć luster ani w nie patrzeć. Ukazują one prawdę bożą, która jest zbyt potężna, żeby mogły ją znieść ludzkie oczy. Zwierciadła sprawiają, że nasze słabowite serca stają się próżne. Dotąd widziałam tylko jedno małe, kwadratowe, z prostą drewnianą ramą, które ojciec ukrył w swojej sypialni. No i to tutaj, w ciemnej szybie mojego okna. Przez chwilę przyglądam się sobie, choć moja skóra płonie ze wstydu. Oto ja – szczupła i postawna dziewczyna z długimi brązowymi włosami, skórą białą niczym rzeczna piana i szesnastoma latami modlitw w oczach. Serce wali mi w piersi. Potrząsam głową i tym razem zerkam poza to dziwaczne odbicie tej grzesznej, gapiącej się osoby.

I za tą szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną z szyby dostrzegam jasne firanki wiszące w oknie oraz płaski, wełniany dywan. Do tego ściany w czerwone i niebieskie kwiecie, namalowane ręką moją i mojej siostry. Obok łóżka młodszej panny Barrow stoi żółty wazon z niebieskimi i pomarańczowymi kwiatami polnymi. Ona sama śpi z miodowymi włosami rozlanymi na poduszce. Śpij dalej, moja słodka.

Składam mały bukiet i cichutko niczym myszka przekradam się przez ogród w stronę bramy. Na cześć zmarłych tej zimy każdy dach w Przystani udekorowano dzwonekami, które poruszają się teraz na wietrze. Po drugiej stronie drogi wznosi się dom Josepha, jednego z czcigodnych członków starszyny. Przechodzę obok niego i wstrzymuję oddech. Ani razu nie spoglądam na jego dzwoneki.

Następny stoi dom babci Dale, potem dom Benjamina Grangerera, dom Abbottów, dom Everettów. Skręcam w wąską drogę po prawej, gdzie dęby tworzą nad moją głową łuk niczym wzniesione ramiona. Dom Amesów, dom Grayów. Dziewięć wiszących dzwoneków, potem kolejnych dziewięć, i znowu dziewięć.

Wdowa Woodworth klęczy u schodów wejściowych do swojego domu. Tuż obok niej wznosi się biały drewniany krzyż. Jej małe córeczki – Abigail i Patricia – pod czujnym spojrzeniem matki ozdabiają go świeżymi kwiatami.

Pospiesznie je mijam. Lepiej, żeby nie widziały mnie przed namaszczeniem. Nie powinnam nawet wychodzić z domu.

Ale wdowa Woodworth zerka w moją stronę i jej błyszczące od łez oczy rozszerzają się.

– Święta Amity* – szepcze, wyciągając do mnie drżącą rękę.
– Dziewczynki, chodźcie tutaj. Odłóżcie wszystko. Święta Amity nas teraz pobłogosławi.

Potrząsam głową, próbuję się odsunąć.

* Amity (ang.) – zgoda, dobra wola

– Wdowo, nie jestem jeszcze namaszczona. I nie tak mam na imię.

– Błagam, tylko krótka modlitwa. Zwykle błogosławieństwo. O nic więcej nie proszę.

Zaciskają dłonie i zwracają ku mnie swoje twarze. Dziewczynki o kasztanowych włosach są jeszcze zbyt małe, żeby cokolwiek zrozumieć. Po mizernych policzkach wdowy spływają łzy.

Nie jada wiele, odkąd jej męża, Clarence’a, znaleziono w styczniu na łące. Kończyny rozłożone na boki, białe, bezwładne, dziwne. Cała krew odpłynęła z jego ciała, lecz czcigodni nie znaleźli w nim żadnych otworów.

Zerkam na mały biały krzyż, potem rozglądam się po zamgloonej drodze i ciemnych oknach domów z dzwonkami. Gdyby ktoś ze starszyny zobaczył, że udzielam błogosławieństwa przed namaszczaniem, z pewnością nie przemilczałby tego. Czcigodni mogliby wówczas powrócić do swojego sanktuarium i poprosić Boga o wskazanie innej osoby.

Co wtedy zrobiłby mój ojciec?

Taka zdrada zżarłaby go od środka, zniszczyłaby wszystko to, co pozostawiła w nim matka.

Ale jeśli nie spełnię prośby wdowy, może oskarżyć mnie o nieuprzejmość.

– To musi być nasza tajemnica – szepczę.

– Nie powiemy nikomu – odpowiada ochoczo wdowa Woodworth. – Prawda, dziewczęta?

Obie przytakują. Jedna marszczy nos i kicha.

– Panie – mruczę. – Spójrz, proszę, na tę rodzinę, która straciła tak wiele, i obdarz ją, a także jej sąsiadów swoją dobrocią i miłosierdziem, jako że my, dobrzy ludzie z Przystani, z nadzieją w sercach wypatrujemy cieplejszych dni. Chroń nas przed wszelkim złem i okrutnymi dziełami Diabła. Amen.

– Amen – powtarzają dziewczynki wraz z matką.

Kreślę szybkie krzyże na ich czołach w imię Baranka, syna bożego jednorodzonego, po czym pospiesznie ruszam w swoją stronę.

Czcigodny Peter siedzi na swoim ganku tuż za rogiem. Czekam na mnie, jak w każdy święty dzień. To taka nasza mała tradycja. Peter podnosi rękę na powitanie i się uśmiecha. Jego skóra przypomina blady dywan zmarszczek, a włosy tworzą cienkie białe kępy. Ma jednak życzliwe spojrzenie i nigdy nie krzyczy.

– Dzień dobry – mówi do mnie i dodaje moje imię. Udaję, że nie zostało wypowiedziane. – Jesteś dziś wcześnie. Zwykle przychodzisz ze słońcem.

– Samuel chciał pomodlić się ze mną na łące, zanim wszystko się zacznie – odpowiadam i dotykam palcami czoła, warg i piersi.

Peter powtarza pozdrowienie. Jego błyszczące oczy zatrzymują się na moich kwiatach.

– Czuwanie o wschodzie słońca. To dobry chłopak, skoro ci to zaproponował.

Spoglądam w stronę łąki, która rozciąga się za murem, tak zielona i świeża. Coś przeskakuje mi w żołądku. To nie jest nieprzyjemne uczucie, a przynajmniej nie bardzo. Ot, mała żabka w stawie.

Powraca zły ptak, jakby usłyszał moje myśli. Siada na poręczy ganku czcigodnego Petera. Składa swoje kostropate skrzydła i zaczyna mnie obserwować.

– Samuel jest dla mnie dobry – odpowiadam niepewnym głosem. – Jestem wdzięczna za wszystkie boskie dary, jakie otrzymuję.

– Najważniejsze, że przyniosłaś świeże kwiaty na mój stół! – Peter spogląda na mnie z radością typową dla dziecka. – Są cudowne. Tak pogodne jak letnie chmurki – dodaje i zanurza twarz

w niebieskich płatkach irysów. – I dziękuję ci też za odświeżenie mojej pościeli. Chociaż raz udało mi się szybko zasnąć.

– Co za dziwaczny ptak – wtrącam jakby od niechcienia.

Czcigodny Peter obraca się na swoim skrzypiącym krześle i spogląda prosto na tę okropną bestię. Jego usta znajdują się tuż obok jej otwartego dziobu.

– Jaki ptak, dziecko?

Z trudem przełykam ślinę.

– Już żaden. Odleciał.

Sięgam po kwiaty i wchodzę do domu po wazon z wodą. Nie spuszczam ptaka z oczu. Jego białe spojrzenie podąża za mną. Bestia obserwuje mnie nawet przez okno.

– Nie boję się ciebie – szepczę do samej siebie. – Kiedy już zostanę namaszczona, Bóg wygna cię z tej ziemi.

Gdy ponownie unoszę wzrok, ptaka już nie ma.

– Twój dar przypomina mi, że po zimie zawsze przychodzi wiosna, a po śmierci życie – stwierdza czcigodny Peter.

Pomagam mu podnieść się z krzesła. Wskazuje ręką dzwonki na niebieskich wstążkach, wiszące u krokwi. Dziewięć złotych pręży się na straży dużego, srebrnego. Podobne można zobaczyć przy drzwiach każdego członka starszyny.

– Dziewięciu mężczyzn i chłopców z Przystani odeszło do Boga – dodaje drżącym głosem Peter.

– Ciężka zima – wzdycham.

– Jutro będzie to już tylko odległe wspomnienie – mówi i swoimi pomarszczonymi palcami dotyka mojego policzka. – Twoje namaszczenie zapowiada się na prawdziwe święto. W nasz lud wreszcie wstąpi nadzieja. Wiosna, kwiaty, wyczekiwana nowa święta. Bóg przemówił do nas. Wypowiedział twoje imię. Ojciec jest z ciebie taki dumny...

Czując napływające łzy, chwytam rękę Petera w dłonie i delikatnie ją ściskam. Niech Bóg błogosławi tego życzliwego starszka za to, że nie wspomniał choćby słowem o mojej zmarłej matce i jej grzechach.

– Dziękuję, czcigodny Peterze – szepczę.

W jego oku błyska radosne światełko. Mężczyzna powoli rusza w stronę schodów.

– Pora na mnie, prawda?

Patrzę, jak zbliża się do wysokiego muru otaczającego Przystań. Nigdy nie widziałam, żeby czcigodny Peter chodził tak szybko jak wtedy, kiedy stara się skupić na sobie uwagę strażników. Dzięki temu jednak mogę niepostrzeżenie wyslizgnąć się na zewnątrz. Bawi go płatanie takich figli. Pewnie bawiło go też w dzieciństwie. Dziewczęta nie powinny wychodzić poza mur, chyba że towarzyszy im mężczyzna. Na szczęście Peter odciąga spojrzenia strażników.

Poza tym znam miejsce, którego nie obserwują.

Samuel pokazał mi je w dniu śmierci matki. Dzięki niemu patrzyłam, jak wtedy biegła...